

LOTNICO

Marek Stokowski

Powieść opowiada historię młodego człowieka w średnim wieku, który podczas oczekiwania na opóźniony samolot na lotnisku pogrąża się we wspomnieniach z września 1975 roku. Wraz z trójką przyjaciół z klasy maturalnej – dwiema dziewczynami i dwoma chłopakami – zostaje niespodziewanie, bez swojej zgody wysłany z Warszawy na północ Polski. Ich powrót do domu zamienia się w wielodniową podróż pełną przeszkód i wyzwań. Autor określa tę podróż jako "Odyseję prowincjonalną", nawiązując do wiersza Konstandinosa Kawafisa "Itaka". Celem nie jest jak najszybszy powrót, ale samo "wędrowanie, pełne przygód, pełne doświadczeń". Lotnicho wpisuje się w tradycję powieści o dojrzewaniu. Podróż staje się dla bohaterów intensywnym procesem odkrywania "głębokiej Polski", siebie nawzajem oraz kształtowania własnej osobowości i światopoglądu. Podróż jest przedstawiona jako jedno wielkie doświadczenie rozwojowe.

FRAGMENTY POWIEŚCI

Opóźnienie się zwiększyło do dziewięćdziesięciu pięciu minut. Spytałem o powód.

– Ze względów technicznych – powiedziała dama w uniformie, stojąca przy bramce i wpatrzona w paski ekran.

Czyli tak naprawdę – nie wiadomo. Niewinna usterka albo może coś grubszego. Albo nawet strajk, tam, u nich. W każdym razie nasz samolot nie przyleciał jeszcze z Grecji.

Powinienem teraz się wyśńczyć i przejrzeć referat. Mam mówić o zamkach jako tekstach z cegieł i kamienia, i sposobach ich lektury. Nadarzyła się okazja, w gruncie rzeczy idealna, żeby nadać szlif sformułowaniom i wyuskać takie zdania, które warto zapamiętać, tak by potem, podczas wystąpienia, wypowiedzieć je z naciskiem, patrząc ludziom prosto w oczy. Należałoby to zrobić, a ja gapię się na samoloty.

*

Lubię się wpatrywać w cielska maszyn stojące na płycie albo dźwigające się w powietrze, tam z tyłu, na pasie. Za ogromnym oknem terminalu najwięcej jest naszych. Razem z nimi pięć, startują lub lądują: Turkish Airlines i Lufthansa, Swiss, SAS, Austrian, KLM i British Airways. No i odpoczywa wielki Boeing 777 linii Emirates z Dubaju.

*

Uwielbiam lotnicho. Od dziecka, od zawsze. Wyrosłem tuż obok, odczuwając jego grawitację, wsłuchując się rankiem w muzykę motorów, wpatrując się w światło, wielobarwne blaski światła, które docierały tutaj do nas na lakierze samolotów, w oczach egzotycznych pasażerów i pilotów różnych linii. Wyrosłem, wdychając zachwycenie obietnice wielkich przygód, dalekich podróży i przyszłej wolności. To były zapachy wydobywające się z silników nowoczesnych odrzutowców, z nazw portów lotniczych, i sunące lekko za plecami schodzących z pokładu przepięknych stewardess.

Nie mówiło się inaczej, jak tylko: lotnicho. Zwyczajnie – lotnisko – tak mogli powiedzieć przyjezdni z daleka albo ludzie z innych dzielnic. Nam z Okęcia wprost nie wypadało posługiwać się wyrazem tak nieprzystojnie pospolitym. W naszym grubym, męskim słoicie kryły się zażyłość, obeznanie i czuła

nami?tno??.

Wi?c zawsze: lotnicho, czyli nasza brama marze?.

[...]

W niedziel? wieczorem, zaraz po Bolku i Lolku og?oszono, ?e nazajutrz – na zaproszenie Pierwszego Sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysza Edwarda Gierka – przyb?dzie do Warszawy z przyjacielsk? wizyt? robocz? Sekretarz Generalny Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechos?owacji towarzysz Gustav Husak wraz z delegacj? partyjno-rz?dow? na szczelbu ministrów i genera?ów.

I ju? wiedzia?em, ?e nie b?dzie chemii.

*

Mia?em ochot? uca?owa? prosto w usta nasz telewizor lampowy Neptun, tak jak dzie? pó?niej, przy powitaniu przed samolotem, towarzysz Gierek ca?owa? wargi tego jaszczura z czechos?owackiej, bratniej mafii.

Z miejsca przesta?o mnie kr?ci? w brzuchu. Nasza chemica straci?a w?adz?, mo?e na krótko, ledwo na przedpo?udnie poniedzia?kowe, ale w tym czasie nie by?a w stanie zaatakowa? mnie pytaniami ani sprawdzianem. Zatriumfowa?y na ca?ej linii: Uk?ad Warszawski i dyktatura proletariatu.

Zamkn??em zeszyt. Cuchn?? molami, które si? l?g?y w gazach technicznych. Wzi??em gitar? i urz?dzi?em solowy koncert: a-moll, D-dur, a-moll, C-dur, F-dur, a-moll, D-dur, a-moll. Muzyczne mole nie zalatywa?y.

A potem spa?em smacznie jak dziecko.

*

Rano kocha?em ?wiat szczerym sercem, bo nic nie daje a? tak wielkiego poczucia szcz??cia, jak odwo?ana noc? egzekucja.

Zjad?em ?niadanie, zbieg?em ze schodów i dzi?kowa?em dobremu Bogu za s?o?ce kwietnia za topolami. S?o?ce jest wa?ne, bo gdyby przysz?y mg?a albo burza, to odwo?ano by l?dowanie, przynajmniej rano, i oczywi?cie by?aby chemia.

No ale, szcz??ciem, by?o pogodnie, a? chcia?em krzycze? na ca?e gard?o pochwa?? nieba, a z drugiej strony – pochwa?? cz?stych, bratnich kontaktów mi?dzy partiami z krajów walcz?cych wspólnie o pokój, szcz??cie ludzko?ci i pozosta?e sowieckie bujdy.

*

Nasze liceum sta?o w pobli?u owego miejsca, gdzie l?dowali partyjni ?wi?ci. A wi?c byli?my stale pod r?k?. Brano nas w jasyr i zap?dzano na powitania starych gamoni. Zadaniem bra?ców by?a ekspresja wielkiej rado?ci – nie tylko naszej, ale w ogóle ca?ej m?odzie?y Polski Ludowej.

Zwykle stali?my na betonowej p?ycie lotniska, z tym ?e nie tego dla pasa?erów z plikiem biletów i walizami, tylko innego – dla dygnitarzy, takich z Bu?garii, W?gier, Rumunii, Czechos?owacji i Wschodnich Niemiec,

czasami nawet z Kuby, Afryki lub Jugosławii, i oczywiście – z samej stolicy proletariatu. Mieliśmy machać chorągiewkami, wznosić okrzyki i głośnie klaskać. Tymczasem wielu robiło jaja i nie machało, i nie wznosiło, i nie klaskało.

*

Pomiędzy nami stali tajniacy. Mieli nam za złe, że nie wnosimy z nimi okrzyków – wszyscy, radośnie i spontanicznie! – że wnoszą z nimi tylko niektórzy i to dość cicho, nader niemrawo. Panowie kłóli, że zamiast wyciągać się z entuzjazmem w wielkie wołanie inicjowane przez zapiewających, co tam mruczemy, wywrzaskujemy jakieś bzdety albo milczymy, wpatrzeni w niebo.

Były zarzuty, opierniczenie nauczycieli, potem opierniczenie nas przez opierniczonych, groby i proby, lecz nasz entuzjazm nie wybuchł nigdy – byliśmy wredni i ironiczni przy powitaniach królów Bułgarii, Węgier, Rumunii, Czechosłowacji i Wschodnich Niemiec, Kuby, Afryki i cara Rosji – tak że kamery telewizyjne musiały szukać owych nielicznych, którzy machali łapką w kierunku gości i nie robili przy tym grymasów.

Wciekli tajniacy ciskali gromy, strasząc, że nigdy już nas nie weźmą na ceremonie, te na lotnisku. Przywiozł innych, a my zdechniemy nagle na chemii. Na szczęście z czasem zapominali. Zapominali o swoich grobach i gdy przylatywał następny dupek, znowu nas brali do skandowania czerwonych haseł. Chyba nikomu już się nie chciało zmieniać systemu, który nie działa, ale przynajmniej nie eksplodował. Poza tym inni, z innych liceów spoza Okęcia, też mogli robić okropne jaja, o wiele gorsze jaja od naszych, jako że nowe, nieoswojone. A my przynajmniej byliśmy znani, przewidywalni.

*

Towarzysz Husak pewnie już wkładał swoje lakiery przed wyjściem z domu, już tankowano mu odrzutowiec, gdy nas zagnano jeszcze do klasy. To zabiło, nikt nie spodziewał się takich szykan.

Tydzień zaczyna się od fizyki. Przyszła Jankowska, też zła, że musi prowadzić lekcję. Od dwóch miesięcy miała zastępstwo za Sawickiego. On złał nogę czy coś takiego. Ona ustrzegła się przed kontuzją, za to zupełnie nie była w stanie patrzeć nam w oczy. Zawsze wbijała wzrok w tylną część ciała.

W ów poniedziałek dągu sprawdziła pracę domową. Potem zaczęła nam opowiadać coś o soczewkach i ogniskowych. I nagle cisza, jakby Jankowska nam się zacięła. Już nie patrzyła na tylną część ciała, tylko na sufit, i z tak zadartą głową jęknęła:

– Te samoloty jeżdżą i jeżdżą, ja nie wiem...

Tak, fakt, jeżdżą.

*

To spostrzeżenie pani profesor z jakich powodów nas rozśmieszyło. Doszło do napięcia, nawet represji.

– Ryko! – ryknęła. – Tryskasz dowcipem? To może jeszcze wytryśniesz wiedzę! Jak, powiedz wszystkim, wygląda episkop?

Ryko był rosyjskim, miało skandynawskie wosy do ramion i nie przepadał za zaczepkami. Zaczęła się zwlekać z krzesła odwołaniem. Okcie wciśniętą trzymała na blacie stołu. Bardzo się starała zyskać na czasie. Słowo episkop nie wywołało w nim asocjacji, a jeśli jakieś, to z biskupami. Tak, to nie była jego domena. Specjalizowała się w motocyklach. Popołudniami skadała je z czystości, które zdobywała gdzieś na bazarach i zomowiskach.

– Ja, Ry?ko, czekam! – zagotowa?a si? R. Jankowska. – Jak, prosz? ciebie, wygl?da episkop?

– Episkop, jak s?dz?, wygl?da korzystnie – wycedzi? Ry?ko.

Jego odpowied? brzmi?a uprzejmie, jednak wzbudzi?a spore emocje.

*

Gdy zabrzmia? dzwonek, wszyscy run?li hurmem do wyj?cia. Mia?o to cechy ewakuacji z l?duj?cego awaryjnie samolotu lub z ton?cego promu na Orinoko. Pani profesor nadal krzyczy?a, lecz nas ju? broni? mus uczestnictwa w ?yciu spo?ecznym i politycznym kraju.

Ka?dy, kto musia?, bieg? do ust?pu, potem do??cza? do pozosta?ych. Ci ju? zbierali si? t?umnie na placu pomi?dzy szarym budynkiem liceum a dosy? w?sk? ulic? ?lisk?. Na tej ulicy czeka?o na nas kilka zm?czonych, miejskich autobusów.

*

Chcia?em co pr?dziej znale?? Wiktori?. Ona chodzi?a do równoleg?ej klasy. Co dzie? wypatrywa?em jej w t?umie uczniów, na ka?dej przerwie, tak?e po lekcjach. Mia?a ob??dne nogi sportsmenki, wysmuk?? szyj? i jasne w?osy. Wielu ch?opaków o niej marzy?o. Mnie urzeka?a i zachwyca?a.

Kryj?c nie?mia?o??, pogadywa?em z Wik? do?? cz?sto. Gra?em luzaka, lecz nie spyta?em jej ani razu, czy nie zechcia?aby ze mn? chodzi?, innym s?owu – czy móg?bym zosta? wybra?cem losu. Ba?em si? kl?ski. Przecie? widzia?em, jak? sympati? jawnie obdarza kilku najbardziej rasowych samców spo?ród watahy adoratorów.

Gdy wsiadali?my do autobusów, sta?a przy Ry?ce. On opowiada? o episkopie. Wika s?ucha?a go rozbawiona.

Postanowi?em nie jecha? z nimi.

*

W dziewi?? minut, mo?e w dziesi??, dotarli?my na lotnicho – tak zwane wojskowe. No i zaraz si? zacz??o ustawianie nas w sektorach, apele o udzia?, o godn? postaw? i szczery entuzjizm.

Tak, by?o s?onecznie, ale ch?odno. Mocno wia?o. Wiatr rozwiewa? nam fryzury. A fryzury w owych czasach by?y bujne, zw?aszcza m?skie. I mieli?my dziwne spodnie, szerokie na dole, jak jakie? namioty. A do tego nosili?my przera?liwie wstr?tne buty na podeszwach grubych niczym ceg?y. Tylko ja chodzi?em w bardzo fajnych, w adidasach – nie w podróbkach, lecz prawdziwych, przywiezionych z olimpiady w bawarskim Monachium. Podarowa? mi je ojciec. Mój ojciec trenowa? pi??ciarzy, takich raczej pozaolimpijskich, z tym ?e mia? kolegów w polskiej kadrze, no i czasem mu skapn??o – co? tam dosta? od nich albo kupi?. Nadzwyczajnie dba?em o te buty. Po trzech latach ich noszenia ci?gle wygl?da?y tak jak nowe. Podnosi?y mojt? warto?? w oczach Wiki. Wszak?e adidas to za ma?o. Tak w ogóle by?em cienki, to znaczy przeci?tny. Inni mieli wi?cej zalet.

*

O dziesi?tej wyl?dowa? na Ok?ciu sowiecki tupolew w barwach s?awnych czeskich linii, z delegacj? bratniej partii. Edward Gierek w towarzystwie licznej ?wity wyszed? z pawilonu rz?dowego i kroczy? dostojnie po p?ycie lotnicha.

T?oczyli?my si? przy miejscu, gdzie po chwili doko?owa? i zatrzyma? si? samolot. Tu? przy trapie lotniskowym przystan?li gospodarze. Od nas do nich by?o gdzie? z pi?tna?cie metrów, góra! Obok mnie

czekali na imprez?: Andrzej, Go?ka, ?redni, A?ka, Tomal, Adam, troch? starszy od nas Jezior i m?odszy Michalak. Fantastyczni, ?wietni ludzie. No i masa innych widzów, ale my na pierwszej linii, blisko Gierka.

Obok dygnitarzy w garniturach ustawiono dwoje dzieci, najwyra?niej z podstawówki. Zosta?y skazane na wr?czanie kwiatów Husakowi. Ch?opak skuba? sobie palce. Dziewczynka si? trz?s?a – mo?e z tremy, mo?e z zimna, bo ubrana by?a lekko, jak na szkoln? akademi?. Ch?opak mia? przynajmniej marynark?, d?ugie spodnie i koszul? z r?kawami, a ta tylko kus? kieck? i bia?? bluzeczk?, i lekkie lakierki. Mieli?my ochot? przeskoczy? przez p?otek, podbiec do dziewczynki i j? porwa?, uwolni? od ha?by, no a przede wszystkim okry? kurtk?. Zabrak?o nam chyba odwagi i zabrak?o, kurde, czasu, bo rozpoczynano ceremoni?.

*

Gdy w otwartych drzwiach maszyny pojawi? si? Husak, tajniacy natychmiast zacz?li nas judzi? do gromkich okrzyków i entuzjastycznych braw ludno?ci. Jeden z nich próbowa? nas zapali? do wo?ania: „Hurra, hurra!”, ale kiedy intonowa?: „Hip, hip!”, my odpowiadali?my na to: „Hop, hop!”. Ten facet si? skr?ca?. Bardzo chcia? nas zamordowa?. W sumie to nie by?o takie wa?ne. Rzeczy du?o istotniejsze rozgrywa?y si? przy trapie rz?dowego samolotu.

*

Gustav Husak zszed? po schodach, po czym obca?owa? gospodarzy. S?yszeli?my te mlaskania. I wtedy popchni?to ku niemu dziewczynk? z obstaw?. Zatrzyma?a si? przed towarzyszem Sekretarzem Generalnym, poda?a mu kwiaty i zacz?a deklamowa?. Mówi?a po polsku, bo na pewno zak?adano, ?e ten Husak, jako S?owak, powinien j? w miar? swobodnie zrozumie?. I to mia?o by? znacz?ce, mia?o nie?? szczególny przekaz: nie dzieli nas j?zyk, jeste?my jak bracia.

Dziewczynka zacz??a i zaraz przerwa?a. Us?ysza?a w?asne s?owa:

– Dzi?kujemy waszej eminencji za wizyt? duszpastersk?, za modlitw? i b?ogos?awie?stwo...

Pomyli?y jej si? teksty, a do tego ceremonie.

*

Z wra?enia zemdla?a. Podtrzyma? j? ch?opak. Faceci z obstawy wynie?li j? pr?dko, jak si? sprz?ta zbity wazon.

Czy towarzysz Husak j? zrozumia?? Nie wiadomo, w ka?dym razie sytuacj? stara? si? ratowa? sam Pierwszy Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Podskoczy? do go?cia i znów zacz?? go ob?apia?. Obaj ca?owali si? nami?tnie w suche usta strasznych starców.

I wtedy orkiestra odegra?a oba hymny. Nawet my powstrzymali?my si? od ?miechu, który dusi? nas od owej chwili, gdy us?yszeli?my s?owo eminencja. Nawet my zachowali?my wtedy spokój. Bo te hymny by?y nasze – zwyczajnych Polaków, S?owaków i Czechów. To nie by?y pie?ni tych ?obuzów z leninowsk? g?b? w klapach i tajniaków w szarych p?aszcach. Mazurek by? Go?ki, Andrzeja, ?redniego, Michalaka i Tomali, Jeziora, Adama i mój, i nas wszystkich.

*

?al nam by?o tamtej ma?ej. Mieszali nam we ?bach od pierwszych chwil w szkole, a poza tym w telewizji, na pochodach, w radiu i na wiecach.

Michalak przypomnia?, jak w ko?ciele parafialnym, tu? po naszym bierzmowaniu, inna grzeczna uczennica w granatowej, d?ugiej kieckie i bia?ej bluzeczce, jedna z tych, co przymuszane by?y do oracji-deklamacji na

dorocznych akademiach ku czci rewolucji i na imieninach kanoników, dostała mikrofon i w imieniu bierzmowanych dziękowała biskupowi:

– Wasza ekscelencjo, księże biskupie! Dziękujemy ci za wychowanie w duchu internacjonalistycznym i socjalistycznym...

I tu się zacięła, jak ta matka na lotnisku.

W sumie wszystkim nam się zaczynało i strasznie merdało, bo, powiadam, tak mieszało nam w tych głowach, że człowiek nie wiedział czasami, co gada. I z myśleniem też miał kłopot.

*

Dyskutowaliśmy o tym wszystkim, wracając z lotniska. Czasu na gadanie było sporo, bo powracaliśmy stamtąd pieszo. Autobusy dla publiki kursowały w jedną stronę. Teraz, gdy byliśmy już wykorzystani, można było nas zostawić. Ale nam to wcale nie wadziło, jak rzekliby pewnie rodacy Husaka. Fakt, że musieliśmy wracać pieszo, nadzwyczajnie nam pasowało.

Dłuższy spacer dawał nam okazję do oceny różnych spotkań z nerwowymi tajemnicami i ukochanymi przywódcami, wszelako najwyraźniej warto było powrotu per pedes było radykalne spowolnienie, odroczenie lub udaremnienie dotarcia do szkoły na ostatnie lekcje w planie.

Dlatego? Dlatego, że lekcje – niemal wszystkie w naszej szkole – były martwe, bez zapachu. Poza tym nie miały koloru i smaku. Fizyka nie była zagadką, a matematyka wyobraźnią, historia nie była dramatem, a biologia życiem Ziemi. Nauka nie była przygodą, już raczej udręką, nieustannym zawieszeniem między nudą gnicią w klasie a piekącym lękiem w brzuchu. Niemal wszyscy pedagodzy wydawali się zgorzkniali i czesto – okrutni, jakby mścili się na uczniach za przegrane w wieloletniej, beznadziejnej wojnie z głównym, z codzienniejszym komunizmem.

*

Zapewne dlatego w kawalkadzie z portu lotniczego zdarzało się wiele zasabni i omdleń, ujawniały się kontuzje. Musieliśmy często stawać, ratować kolegów, przywracać przytomność, usztywniać kończyny, bandażować różne rany. Z rannymi – uwaga! – nie można było przeforsować.

Błądaliśmy też o postój w rzadkim lasu przy 17. Stycznia. Po udziale w ceremoniach, po wielkich emocjach dochodziła tam do głosu zwykła ludzka fizjologia. Zaczynało się sikanie. Wiadomo – partiami, elegancko, kulturalnie, z podziałem na panów i panie, dziewczynki i chłopaków. To musiało trochę potrwać. Tutaj po piech mógł się skończyć czymś zawstydzającym albo brzydkim.

Potem, już za owym małym gajem, jeszcze próbowano zmylić drogę. Takie rzeczy się nie udawały. Przewodnicy licealni – zazwyczaj panowie od przysposobienia obronnego albo wychowania fizycznego – nie dawali się namówić na obejścia wokół działek, zbaczanie ku centrum lub w stronę Raszyna. Cięgnięli jak konie do stajni za lasem.

*

Kiedy zbliżaliśmy się do szkoły, próbowałem iść z Wiktoria, ale ona nadal była pochłonięta radością rozmów z tym cholernym, rosyjskim Rykiem. Był wyśzy ode mnie o głowę. Przypominał Szweda z grupy ABBA. Wróciłem do swoich, do Gołki, Andrzeja, średniego, Tomali, Adama, ciut młodsze Michalaka i Jeziora emeryta.

W końcu dowlekliśmy się na ruski. Był ostatni lekcji w poniedziałek. Pani Dowgird – rusycystka – nie strzelała nigdy z bata treserki tygrysów, więc ta lekcja nie bolała, jakoś dało się wytrzymać.

Gdyby nie nasz kunszt w zwalnianiu tempa, to zd??yliby?my i na matm?, a nawet na hist?. Na szcz??cie w pe?zaniu byli?my mistrzami.

*

Nasza profesorka od ?aciny, nadzwyczaj subtelna pani Nina Koniecpolska, zdradzi?a mi kiedy?, kilka lat po moim po?egnaniu z ok?ckim liceum, ?e gdy spogl?da?a na nas z boku, jak wlecemy si? z lotniska, widzia?a w tym marszu w?drówk? Odysa. Tyle ?e nie powstrzymywa? nas gniew bogów ani groza Lajstrygonów. My nie tyle nie mogli?my – uwa?a?a pani Koniecpolska – ile nie chcieli?my wraca? do Itaki.

Pani Nina mia?a racj?. Nie t?skni?a do nas Penelopa: wierna, pi?kna, kochaj?ca. Królów? liceum by?a dyrektorka H. Kalisiak, podrzucona na to stanowisko przez komitet dzielnicowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pani z syberyjskim z?otym z?bem i s?abo?ci? do mi?s t?ustych. Nie wita?a nas ze ?zami.

I nie czeka? ?aden Argos.

[...]

Zm?czeni po ta?cach, usiedli?my wokó? sto?u. ?ykali?my wod? z mi?t?.

Józef Hacken wyszed? na dwór. Chcia? sobie zapali?. Ewka powiedzia?a, ?e te? musi wyskoczy? na moment, ma spraw?. Wiedzieli?my, o co chodzi, a Ewka wiedzia?a, ?e my wiemy i tak dalej, wi?c w sumie zosta?a, ci?gn??a swój odwyk.

Zapyta?em gospodyni?:

– A nie mo?na by zawo?a?, tutaj do nas, psa z podwórka?

– Pies nie mo?e by? w cha?upie. On musi pilnowa? mi kur przed lisami.

– Rozumiem.

– Ale damy mu co? do jedzenia. Niech te? ma wesele – powiedzia?a panna m?oda.

Dziewczyny natychmiast zaofiarowa?y swój? pomoc, chcia?y wynie?? psu kolacj?. Wysz?y razem z gospodyni? do kuchni za sieni?. Ja i Rafa? zostali?my z Micha?em na wózku.

Troch? si? ch?opaka, kurde, ba?em.

*

W?a?ciwie dlaczego i czego si? ba?em? Jego strasznej samotno?ci? Jego cichej tajemnicy? Blisko?ci cierpienia? A mo?e – po prostu – l?ka?em si? tego, ?e mu zrobi? jak?? krzywd?? No na przyk?ad, ?e go dotkn? – r?k?, s?owem albo gestem – a on zaraz si? rozpry?nie, prze?amie na pó? albo zga?nie?

Ba?em si?, cholera, nieznanego.

Filozof te? uciek? w d?ubanie widelcem w kawa?ku biszkopta.

*

Nie da?o si? d?u?ej tak d?uba? i milcze?, tym bardziej ?e Micha? patrzy? na nas, jakby czeka?, ?e zauwa?ymy, ?e istnieje. Zapyta?em go najg?upiej, jak mo?na zapyta?:

– A ile masz lat, Micha?, powiedz.

On znowu si? wygi??, wykrzywi?a mu si? twarz i zacz?? j?ka?:

– Neeee... dddd?uuu... gooo... dddd... waaaaa... dzieeeee??... ciaaaa.

Zd?bia?em. Patrzy?em mu w oczy, chocia? wcze?niej kr?powaa?em si? przygl?da? jego twarzy i postaci, odwraca?em wzrok jak wielu, którzy my?l?, ?e w ten spos?b okazuj? chorym delikatno??.

Zanim odpowiedzia?, ?e dwadzie?cia, uwa?a?em, ?e to m?okos, tak mniej wi?cej w wieku tamtych, którzy si? wypili w Sarniej G?rze. By? ma?y i drobny, mówi?em, w gruncie rzeczy nawet suchy, jaki? taki wyniszczony, teraz jednak zobaczy?em, ?e on nie wygl?da na ch?opaczka, nie tylko dlatego, ?e ju? sypn?? mu si? zarost. Doros?ym czyni?y go oczy, oczy kogo? dojrze?ego. By? w istocie naszym r?wie?nikiem, ale patrzy? tak, jak gdyby widzia? du?o wi?cej, du?o g??biej od ka?dego z nas, g?wniarzy.

*

Z obawy przed cisz?, zacz??em gaworzy?, ?e my mamy osiemna?cie i mieszkamy na Ok?ciu, chodzimy do tego samego liceum, witali?my w ?rod? na lotnisku premiera Wilsona i jego ma??onk?, a potem nas wzi?li na przeja?d?k? nad Warszaw?, nie tyle przeja?d?k?, co lot antonowem, wysadzili pod Malborkiem, i te rzeczy, i tak dalej. Gada?em, gada?em, zag?uszaj?c l?k, niepewno??, a poza tym – mówi?c prawd? – nie umia?em jeszcze s?ucha?.

Micha? s?ucha?; on ju? umia?. Podrygiwa? w w?zku dla berbecia. My?la?em, ?e skonam, ?e wyrw? go stamt?d, postawi? na nogi i ub?agam Pana Boga, ?eby zrobi? cud, natychmiast, zaraz, tak jak czyni? w tamtych czasach, kiedy chodzi? mi?dzy nami.

Wtedy Rafa? wreszcie si? odezwa?:

– Co ci zagra??

Micha? zd?bia? jeszcze bardziej ni? ja przed sekund?.

– Cooooo?? dddllaaaaaaaaa... mmmnieeee...?

– No jasne. Znasz mo?e adagio z Concierto de Aranjuez Joaquina Rodriga? Pos?uchaj.

I Filozof zn?w je zagra?.

*

Panie us?ysza?y t? muzyk? jeszcze w sieni, wi?c wesz?y do izby na palcach, stan??y przy stole i zastyg?y tak jak Micha? i ja, który prawie nie mog?em oddycha?.

Micha? s?ucha? bez grymasu. Pierwszy raz widzia?em go bez ruchu. Nie rzuca?o nim i nie skr?ca?o. ?za sp?yn??a mu na brod? i ciek?o mu z nosa.

*

Kiedy Rafa? sko?czy? koncert, siedzieli?my d?u?szej chwili w ciszy domu weselnego. Kobieta w welonie podesz?a do w?zka, wytar?a twarz syna. Nachyla?c si?, spyta?a:

– Micha?, synek, chyba musisz?

On potwierdzi? ruchem g?owy. Wraz z g?ow? poruszy? si? tu?ów.

– Przepraszam – powiedzia?a jego matka. – My musimy co? za?atwi?.

Zacz??a pcha? wózek w kierunku drzwi izby. Podskoczy?em do nich i szepn??em:

– Ja pomog?...

– Tylko ?e my, wiesz, musimy i?? na siku – odpar?a kobieta.

– Rozumiem. Nie przydam si? jako??

Powiedzia?em tak przez Ewk?, przez to jej cholerne pomaganie. No tylko ?e ona robi?a te rzeczy normalnie, swobodnie, a ja by?em beznadziejny i poci?em si? ze strachu.

– Naprawd?? – zdziwi?a si? pani. – Micha?ek, pos?uchaj, chcesz, ?eby kolega nam pomóg??

On si? zgodzi?, wi?c wyszli?my.

*

Zrobi?em po prostu to wszystko, co mi poleci?a jego matka. W gruncie rzeczy nie tak wiele. Podnios?em Micha?a z siedzenia i podtrzymywa?em pod pachami. Ca?? reszt?, najwa?niejsz?, wykona?a w?a?nie ona, jego wieczna opiekunka.

To wtedy przesta?em si? l?ka?.

Przesta?em si? dusi? i poci?, i ju? potem si? nie ba?em, ?e komu? zaszkodzi?, to znaczy, ?e kiedy go dotkn? – r?k?, s?owem albo gestem – to on zaraz si? rozpry?nie, prze?amie na pó? albo umrze. Odt?d nie musia?em ju? ucieka? przed bli?nimi, których los by? ci??szy od mojego.

W?a?nie tego mnie tam nauczyli. I oni, i Ewka.

lotnichoound or type unknown

Fragmety pochodz? z ksi??ki: M. Stokowski, *Lotnicho*, Wydawnictwo Lira, 2024.